

Równiej.

Co właściwie zrobił Piketty?

Z prof. Elżbietą Mączyńską rozmawia
Grzegorz Sroczyński

Prof. Elżbieta Mączyńska – prezeska Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. Związana ze Szkołą Główną Handlową. Jest współautorką pozapartyjnego projektu „Reforma kulturowa”.

Grzegorz Sroczyński: Skąd taki szum?

Elżbieta Mączyńska: Wybuchło. Książka trafiła w coś, co wisiało w powietrzu. Wielką recenzję dał „The Economist”, wszystkie media zaczęły się zajmować problemem nierówności. Thomas Piketty – nieznan szerzej naukowiec – z dnia na dzień został celebrytą, a brukowce wysledziły, że miał kochankę.

„Kapitał w XXI wieku” to przecież solidna praca naukowa.

– Cegła. 800 stron. Ale napisana przejrzyście, nie trzeba być ekonomistą, żeby zrozumieć. Na Zachodzie sprzedano pół miliona egzemplarzy. Co prawda „Kapitał...” kupuje się głównie ze snobizmu, użytkownicy wersji elektronicznej docierają przeciętnie do 18. strony. To najbardziej nieczytany bestseller w historii.

Co właściwie zrobił Piketty?

– To, czego innym dotąd się nie udało lub nie chcieli zrobić. Razem z zespołem spędził kilka lat w archiwach całego świata. Badał wykazy majątkowe, sprawy spadkowe i rejestry podatkowe z ostatnich trzech wieków. Zgromadził dane z 50 krajów i policzył, jak kształtują się dochody z kapitału oraz dochody z pracy.

I?

– Nierówności systematycznie rosną.

Nie wiedzieliście tego?

– Wiadomo było, że coś jest nie tak, ale Piketty dostarczył dowodów. Postawił tezę, że wzrost nierówności to nieodłączna cecha obecnego systemu ekonomicznego. Powszechne odczucie społeczeństw, że rozkład bogactwa stał się skrajnie niesprawiedliwy, dzięki tej książce weszło do poważnej debaty.

Przestało być traktowane jak populizm.

– Piketty ułożył prosty wzór: $R > G$. Są już nawet T-shirty z takim nadrukiem.

Co oznacza ten wzór?

– Dochody z kapitału (R) są wyższe od wzrostu gospodarczego (G). Mam wyjaśnić, jak to działa? To może być przydługim wykład.

Objaśnić.

– Wzrost gospodarczy wyrażamy obecnie wskaźnikiem PKB. Jest to wartość nowo wytworzonych towarów i usług w ciągu całego roku. Żeby policzyć PKB na przykład Polski, powinno się dodać wartość każdego towaru i usługi, odjąć zużyte materiały, oszacować robociznę...

Fabryka wyprodukowała tysiąc pralek, które sprzedała za milion złotych. To się liczy do naszego PKB?

– Liczy, ale nie tak prosto. Od wartości pralek trzeba odjąć na przykład wartość zamontowanych w nich bębnow, które wytłoczono wcześniej, leżały w magazynie i zostały policzone do PKB w poprzednim roku. Silniki ściągnięto z Węgier, więc liczą się do węgierskiego PKB, śrubki z Chin... Można tak rachować w nieskończoność. Pomiar PKB jest trudny, istnieją różne metody, ale według jednej z nich – w uproszczeniu – wystarczy znać dwie wartości: zyski właścicieli kapitału i płace pracowników. Sumuje się zyski z kapitału, czyli to, co zarobili właściciele fabryk, oraz wszystkie płace i w ten sposób szacuje się PKB. Piketty przyglądał się składnikom tego równania na przestrzeni trzech ostatnich stuleci.

I?

– $R > G$. Raz ustanowiony kapitał powiększa się szybciej niż gospodarka. Jeśli PKB rośnie na przykład o 3 proc., to stopa zwrotu z kapitału wynosi 5 proc. Zawsze więcej. Oczywiście jeden kapitalista zyska, drugi zbankrutuje, ale chodzi o średnią. Wyliczenia Piketty'ego pokazują również, że zyski z kapitału ro-



sną szybciej niż płace. To powoduje dalsze narastanie nierówności, rozziw się powiększa w tempie geometrycznym. Właściciele kapitału to przecież garstka w porównaniu z rzeszą ludzi utrzymujących się z pracy najemnej. W nieliczne ręce trafia coraz większe bogactwo. Ekonomista polskiego pochodzenia Ignacy Sachs wymyślił metaforę kielicha wstydu (prof. Mączyńska rysuje na kartce coś, co przypomina kielich) – aż tyle spijają najbogatsi, a ta resztką, która zostaje w nóżce...

Nie. Prosiłbym, żebyśmy unikali argumentów moralnych, kielichów wstydu itd. Być może działają na Zachodzie, ale w Polsce, kraju zbudowanym przez ludzi dawnej Solidarności, wszystko, co wiąże się ze sprawiedliwością społeczną, budzi wesołość.

– To będę uzasadniać tylko ekonomicznie.

Cyferkami najlepiej, to u nas trafia.

– Piketty pokazuje, że poziom nierówności może wkrótce osiągnąć wartości krytyczne. „Kapitał...” przeczytały uważ-

nie elity finansowe i się przestraszyły. W maju 2014 roku, po ukazaniu się książki, moi tego świata spotkali się w Londynie. Szefowa MFW Christine Lagarde podsumowała: „Zaledwie 85 osób, które zmieściłyby się w londyńskim autobusie, zarządza dziś takim bogactwem jak biedna połowa ludzkości. Nie może być tak dalej”. Szefowa Fed Janet Yellen powtarza, że nierówności dochodowe w USA są najwyższe od stu lat. Do jednego procentu najbogatszych Amerykanów trafia aż 24 proc. PKB. W latach 60. to było 10 procent.

Zwykły człowiek powie: „Od zawsze to wiedziałem”. Bogaci się bogacą. Czym się emocjonować?

– Skalą. Nierówności były, będą i mają być. Nie ma w tym nic odkrywczego. Za sługą Piketty’ego jest to, że policzył, jak rozkłada się bogactwo, i wskazał logiczne następstwa.

Jakie?

– Co jest celem gospodarki rynkowej? Wyprodukowanie dóbr i dostarczenie tych dóbr ludziom, którzy ich potrzebują, sprzedaż. Wtedy interes się kręci. Dziś głównym problemem krajów rozwiniętych jest nadprodukcja. Węgierski ekonomista János Kornai w latach 70. wymyślił słynne określenie „gospodarka niedoboru”, którym podsumował realny socjalizm. Teraz znalazł równie trafne określenie kłopotów współczesnego kapitalizmu – „gospodarka nadmiaru”.

Bo ludzie nie mają za co kupować tego nadmiaru?

– Im większe są nierówności dochodowe, tym większa rzesza tych, którzy mało kupują. Powstaje coś, co nazywamy barierą popytu. Ale bogaci też mają ogromny problem.

Jaki?

– Niech pan spojrzy na swój telefon. Każdy nowy model daje więcej możliwości za podobną kwotę, bo przecież telefony nie drożeją. Mają coraz większą pamięć, robią zdjęcia o wyższej rozdzielczości, szybciej ściągają dane itd. Tak samo mają kapitaliści z maszynami i technologiami. Za tę samą kwotę kapitału mogą kupić coraz więcej potencjału wytwórczego. Jeśli więc R jest większe od G , to w ich ręce trafia coraz więcej pieniędzy, za które – z technicznego punktu widzenia – mogliby produkcję podwoić albo nawet potroić. Ale kupić nie ma kto. Ludzie nie mogą zwiększać konsumpcji w takim samym tempie, w jakim następują przyrosty produkcji. Pojawia się luka popytowa, właściwie przepaść. Wpadamy w coś, co w teorii ekonomii jest nazywane pułapką płynności.

Czyli?

– Inwestorzy mają pieniądze, ale nie chcą inwestować.

Trzymają?

– Między innymi z tego powodu narasta spekulacja finansowa. Jeśli brakuje bodźca do inwestowania w realną gospodarkę, to te kapitały muszą znaleźć gdzieś ujście. No i mamy handel wysokiej częstotliwości, spekulacje walutowe, huśtanie rynkami surowców...

Albo wydawanie na prywatne odrzuć.

– To jeszcze nie byłoby takie złe. Odrzuć trzeba wyprodukować, to realna gospodarka. Skoro jednak $R > G$, to z czasem góra pieniędzy tak rośnie, że po prostu nie da się jej wydać. Po przekroczeniu pewnego proggu zamożności pojawia się zjawisko, które nazywamy malejącą krańcową użytecznością pieniądza. Biedny, gdy dostanie dodatkowy grosz, od razu idzie do sklepu, a bogaty nawet nie zauważy, że mu coś przybyło. Ile można zjeść kawioru? Ile jachtów kupić? Dwa, pięć? Ale nie 300! Gdyby podział dochodów był bardziej równy – albo bardziej sprawiedliwy, mówiąc językiem, którego mamy unikać – efekt dla gospodarki byłby całkiem inny.

Bo?

– Powiedzmy, że ja, pan i trzy inne osoby zarabiamy razem milion złotych rocznie. Ale ja mam 900 tys., a pan i pozostałe trzy osoby po 25 tys. Ja – mając co roku tak dużą sumę – wcale nie ruszam z pieniędzmi na rynek. Część ulokuję w zagranicznych funduszach spekulacyjnych, część odłożę, może nawet opłaci mi się tzw. optymalizacja w raju podatkowym. Pozostałe osoby – zarabiając po 25 tys. rocznie – ledwo wiążą koniec z końcem, więc kupią tylko to, co najpilniejsze do przeżycia. Teraz podzielmy ten milion inaczej, czyli równiej: dla mnie 400 tys., dla pana 300 tys., a dla trzech pozostałych osób po 100 tys. zł rocznie. Drastycznie inny efekt dla rynku! Mój zarobek to nadal bardzo dużo, ale jednak nie tyle, żeby ryzykować spekulacje walutowe. Pańskie 300 tys. to sporo, być może kupi pan większe mieszkanie, co nakręci koniunkturę, bo potem są kafelki, meble itd. Pozostali – mając po 100 tys. rocznie – zrobią remonty, kupią nowe ubrania, ktoś zmieni samochód, inny pójdzie do dentysty, na którego poprzednio brakowało. Kapitalizm na bardziej równym podziale tylko skorzysta.

Czy świat dotąd nie wiedział, jakie są efekty nadmiernych nierówności?

– Wiedział, ale uważał, że problem sam się rozwiąże. Większość ekonomistów wierzyła w krzywą dzwonową

Kuzneta. Wygląda tak (prof. Mączyńska rysuje wykres przypominający kształtem dzwon). Amerykański noblista Simon Kuznets ogłosił w latach 60., że nierówności dochodowe najpierw szybko narastają, ale wraz z rozwojem gospodarczym, kiedy zostaje osiągnięty pewien poziom dobrobytu, różnice majątkowe się zmniejszają. Bogaci się bogacą, ale rośnie też klasa średnia i biednym przybywa.

Przyłył podnosi wszystkie łodzie.

– Na obliczeniach Kuzneta zostało zbudowane nasze myślenie o gospodarce. Trzeba dbać przede wszystkim o wzrost PKB. Bogactwo spłynie w dół drabiny społecznej, byle nie przeszkadzać wolnemu rynkowi. To dobry przykład, jak dużą rolę odgrywają rozmaite teorie w życiu społeczeństw. Zwłaszcza te błędne.

Przecież Kuznets skądś to wziął. Zmyślił?

– Nie. Ale popełnił dość typowy błąd – stworzył swój wykres w złotej erze kapitalizmu, tuż po wojnie. Europa w obawie przed powrotem demonów faszyzmu budowała państwo opiekuńcze i pilnowała, żeby nierówności nie narastały zbyt gwałtownie. Ameryka wprowadziła wysokie progresywne opodatkowanie dochodów i inwestowała w przemysł. Kuznets opisał więc prawdę, ale dotyczącą wyjątkowego momentu.

Piketty swoje obliczenia robi także w wyjątkowym momencie – kryzysu.

– I po to właśnie zbierał dane z 300 lat, żeby uniknąć tego błędu.

Biednym ubywa?

– To nie takie proste. Wtedy byśmy się szybko zorientowali, że system nie działa. Biednym przybywa. Jeszcze niedawno głodowało półtora miliarda ludzi, teraz niespełna miliard. Można odrzucić postęp.

To gdzie jest haczyk?

– Mówiłam: w nadmiarze kapitału w nielicznych rękach. Dyskusje koncentrują się na najbiedniejszych, którym odrobinę czasem skapnie. A nie tu leży główny problem. Zagrożeniem jest erozja klasy średniej i sytuacja młodych ludzi, którzy nie mają szans do klasy średniej dołączyć. Bo narastanie nierówności wycina środek, zostają dwa bieguny – astronomicznie bogaci i względnie biedni, którzy co prawda coraz rzadziej będą głodować, ale nie mogą liczyć na wiele więcej. Tymczasem to klasa średnia zapewniała stabilność i spójność modeli społeczeństwa, jaki znamy. W latach 1979–2006 dochody najbogatszego procentu Amerykanów wzrosły o 256 proc., podczas gdy rodzinne dochody przecięt-

nych obywateli po uwzględnieniu inflacji w ogóle się nie zmieniły.

Jak to się ma do Polski?

– W Polsce bagatelizuje się problem. Pod koniec lutego Komisja Europejska opublikowała cenzurkę dla Polski. Zostaliśmy mocno skarceni za lekceważenie spraw społecznych, za umowy śmieciowe. „Rekordowa segmentacja rynku pracy” – tak o nas piszą, bo mamy już prawie 30 proc. śmieciówek. Krytykują nas też za rosnącą rzeszę tzw. biednych pracujących, czyli ludzi, którzy chociaż mają pracę, nie są w stanie wiązać końca z końcem. Tak mało się im płaci. Procesy światowe nas nie ominą. Problem nierówności również. Kłopoty, z którymi zmagają się dziś kraje bogatsze, dylematy rozważane na Zachodzie, są również naszymi dylematami.

W jakim punkcie jest świat?

– Piketty używa metafory balonu, który zbyt mocno napompowany w końcu pęka. Jego wyliczenia pokazują, że za każdym razem, kiedy nierówności rosną zbyt mocno, wybuchała wojna albo rewolucja społeczna.

Balon jeszcze wytrzyma?

– Nikt nie wie. Mieliśmy solidny kryzys globalny, więc trochę ciśnienia zeszło. Jeszcze jeden element w tej układance jest ważny. Banki. Niemiecki ekonomista Wolfgang Streeck napisał znakomitą pracę. Uważa, że mamy do czynienia z przekształcaniem tradycyjnego modelu „państwa podatków” w „państwo długów”.

Czyli?

– Od trzech dekad spadają wpływy do budżetów z tytułu podatków dochodowych. Doktryna mówi, że aby pobudzić gospodarkę, trzeba obniżyć podatki, ten proces poszedł daleko w USA i w prawie całej Europie. Ubytek wpływów budżetowych trzeba jakoś załatać, więc rządy muszą pieniądze pożyczać w bankach. W ten sposób więzi państw z sektorem finansowym się zacieśniają.

Im niższe podatki, tym bardziej rząd jest zależny od banków?

– Tak. Po latach działania tego mechanizmu państwa przygniecione górą długów wracają do punktu wyjścia – znowu na wszystko brakuje, bo raty od zaciągniętych długów pożerają coraz większą część budżetów. Zadłużone państwa zaczynają się więc chaotycznie wycofywać ze swoich obowiązków, ubierając to w hasła rozmaitych „reform”, które sprowadzają się często do mechanicznych cięć i pogarszania jakości świadczeń publicznych. To z kolei napędza wzrost kredytowania gospodarstw domowych.

Dlaczego?

– Jeśli z powodu cięć budżetowych szkoła rejonowa w pańskiej dzielnicy sta-

je się słabsza, pobliski szpital źle działa, a kolej się spóźnia, to co pan robi?

Wysyłam dzieci do szkoły prywatnej, kupuję pakiet w Lux Medzie i przesiadam się do samochodu.

– Otóż to. A ponieważ na to wszystko często ludzie nie stać, więc biorą kredyty. Za pieniądze banków obywatele zaczynają wyręczać państwo w jego zadaniach. Im bardziej państwo zaniedbuje usługi publiczne, tym więcej ludzi idzie do banków, żeby zachować dotychczasowy poziom życia. To zjawisko ekonomiści określają terminem „prywatny keynizm”. Przekształcanie modelu „państwa podatków” w „państwo długów” sprawia, że zarówno obywatele państw, jak i rządy – niezależnie zresztą, kto je sprawuje – są silnie uzależnieni od sektora finansowego. Pomoc, której wiele państw w czasie kryzysu udzieliło instytucjom finansowym, jeszcze bardziej zacieśniła te więzy. Decyzjom polityków towarzyszy dziś pytanie: „Co powiedzą rynki?”. Pytanie demokratyczne: „Co powiedzą obywatele?”, przestało być najważniejsze.

Czyli Balcerowicz ma rację: państwo powinno zacisnąć pasa i nie pożyczać aż tyle.

– Zgoda. Tylko pojawia się kolejny problem. Obowiązki państw rosną z przyczyn naturalnych, ludzie żyją dłużej, systemy emerytalne i służba zdrowia wymagają większych nakładów. Czy mamy nie leczyć starców, bo to drogie? Przez powojenne dekady wrażliwość moralna ludzkości jednak wzrosła, prawa człowieka i godne warunki życia państwa demokratyczne wpięły do swoich konstytucji. Cywilizowane państwo nie torturuje, nie skazuje bez prawa do obrony, dba o teatry i zabytki oraz nie pozwala, żeby starcy grzebali w śmietnikach.

I im bardziej jesteśmy ludźmi, tym więcej to kosztuje.

– Otóż to. A wpływy nie rosną. Toną tysiące uchodźców u wybrzeży Sycylii, więc Włosi – znając swój gigantyczny dług publiczny – powinni ich kijami odpychać od brzegów. A jednak ratują tych ludzi. Palacze chorują na raka, leczymy ich, chociaż budżet NFZ trzeszczy. I tak dalej.

Gdybyśmy opuścili się moralnie, to wszystko by grało?

– Wtedy można by wreszcie obniżyć podatki do 5 proc., zrównoważyć budżety, państwa stałyby się lokalnymi komisarzami umożliwiającymi prowadzenie interesów. I niestety, możliwe, że świat zmierza w tę stronę.

Obywatele się nie zgodzą.

– Obywatele mogą nie mieć wiele do gadania. Wygląda na to, że demokracja, jaką znamy, przestała być systemem preferowanym przez wolny rynek.

Bo?

– Kapitałowi finansowemu bardzo sprzyjają internet i nowoczesne technologie. Pieniądze w ciągu doby mogą kilka razy okrążyć kulę ziemską. Masz wolny miliard dolarów? Wrzucasz na giełdę w Azji, kupujesz jena, a rano przelewasz do Brazylii i kupujesz papiery powiązane z wahaniami cen ziarna kawy. Program komputerowy może handlować przez 24 godziny. Kapitał finansowy jest przyzwyczajony do zawrotnej prędkości inwestowania. Natomiast systemy demokratyczne są powolne. Żeby podjąć decyzję, trzeba się zebrać, podyskutować, znaleźć konsensus, wysłuchać różnych opinii. To wydłuża proces. Dlaczego Singapur ma tak dobre wyniki ekonomiczne? Tam nie ma demokracji, decyzje są podejmowane przez technokratów. Stoimy przed ważnymi pytaniami. Czy to my mamy się dostosować do turbokapitalizmu, czy może turbokapitalizm ma się nagiąć do demokracji? Czy chcemy szybciej podejmować decyzje, czy jednak wolimy prawa człowieka?

Dyktator mówi: firma X od jutra może szukać łupków w moim kraju.

– Na przykład. Szybkość podejmowania decyzji, którą może zaoferować demokratycznie wybrany rząd, jest dużo mniej atrakcyjna dla kapitału niż ta, którą może zaoferować dyktator.

Putin?

– W Rosji sprawy komplikuje powszechny bałagan, tam tak naprawdę władza albo w ogóle nie jest sprawowana, albo jest sprawowana niechlujnie. Ale powiedzmy, że byłby to sprawny dyktator USA. Bez Kongresu, który tamten model, wtrąca się, stosuje obstrukcję. Mamy przecież Singapur, mamy Chiny z ogromnym postępowaniem – model niedemokratyczny. Dotąd się łudziliśmy, że te państwa są w okresie przejściowym, bo wolny rynek w naturalny sposób prowadzi również do wolności obywatelskich i demokracji. Tymczasem być może to nam, krajom rynkowej demokracji, grozi tamten model. Model niedemokratyczny jest dla kapitału pod wieloma względami bardziej efektywny. Protesty ekologów? „Zniknie się” ekologów. Konsultacje społeczne w sprawie łupków? Nie ma konsultacji, wjeżdża ciężki sprzęt. W naszych powolnych demokratycznych systemach trzeba zapytać ekspertów, lokalne społeczności mogą ciągnąć koncerty po sądach, proces decyzyjny może trwać pięć lat. Z punktu widzenia kapitału parlamenty złożone z partii, które uchwalają prawo poprzez głosowanie, są irytująco powolne. Jeśli nic nie zrobimy z problemem R>G, kapitał będzie rósł w coraz większe oligarchie. I coraz trudniej będzie kontrolować wpływ tych oligarchii na kształt

świata. Za sto lat wcale nie musi to być świat demokratyczny.

Od jak dawna znane jest w ekonomii pojęcie „krańcowa użyteczność pieniądza”?

– Pierwsze prawo Gossena znane jest mniej więcej od połowy XIX wieku.

A „pułapka płynności”?

– Zwracał na to uwagę już Keynes, a przed II wojną światową Robertson.

Czyli od dawna wiedzieliście, jakie są zagrożenia.

– Gdy w 2014 roku „Kapitał w XXI wieku” wyszedł po angielsku, Piketty’ego nazwano nowym Marksem. Zarzucano mu, że wszystko, co pisze, było już wiadomo. Różnica jest jednak zasadnicza. Marks mówił o nieuchronnej śmierci kapitalizmu, natomiast Piketty mówi o konieczności ratowania kapitalizmu. Pokazuje, że dzisiejszy system sam sobie strzela w stopę.

Poprzez nakręcanie nierówności?

– Tak.

Przecież ekonomiści od dawna to wiedzieli!

– Ale zapomnieli.

Dlaczego?

– Nie znam odpowiedzi. Brytyjczyści studenci i naukowcy założyli stowarzyszenie, które ma walczyć z dominacją na uniwersytetach jednego nurtu ekonomii. Piketty zresztą podpisał deklarację w tej sprawie, podobnie Krugman i kilku innych znanych ekonomistów. Ekonomia akademicka została zawłaszczona przez doktrynę neoliberalną, a inne nurty, np. ekonomia behawioralna czy keynesizm, były przez lata marginalizowane.

Na SGH również?

– Prowadzę zajęcia dla starszaków, czyli studentów, którzy podstawowe przedmioty już zaliczyli. O wielu książkach nie słyszeli. Czwartym roku nic nie wie o noblistach Akerlofie czy Shillerze...

Ale o Friedmianie słyszeli?

– Tak. Ekonomie neoklasyczną i neoliberalną walczą od pierwszego roku. Trudno powiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Wykładowcom nikt nie nakazuje promowania akurat tego nurtu.

Czy w książkach Friedmiana jest coś pociągającego?

– To doktryna wygodna dla biznesmenów i polityków. Nie masz pracy? Trudno, taki mamy rynek pracy. Słabo ci płacą? Co robić, tak działa rynek. Nic się nie da zrobić, więc nie trzeba sobie głowy zawracać.

Że dla biznesu i polityków to wygodne – rozumiem. Ale co uwiodło wykładowców akademickich? Czy ta teoria z punktu widzenia naukowca ma jakiś urok?

– Urok polega na prostocie. Podstawą teorii neoliberalnej jest hipoteza o efektywności i nieomyślności rynku. I jeśli się w to uwierzy, to świat sympatycznie się upraszcza. Trochę jak w marksizmie. Dostajemy jeden obiektywny mechanizm, którym da się objaśnić skomplikowaną rzeczywistość. I całe życie można z tego żyć. Nie popadając w wątpliwości i nie zmieniając poglądów ani na jotę. Teraz pojawia się owczy pęd w drugą stronę. W 2008 roku na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos – już po wybuchu kryzysu – nagle niemal wszyscy stali się wyznawcami Keynesa. To zdumiewające. Napisałam tekst, że nie ma w ekonomii jednej jedynie słusznej teorii. Na łące jest ładnie, gdy kwitną różne kwiaty.

Czy Piketty – poza ogłoszeniem, że nierówności narastają – coś proponuje?

– Coś, co już kiedyś się sprawdziło, czyli solidną progresję podatkową. Zarabiasz powyżej kilku milionów dolarów, płac 80 proc. podatku.

Boże.

– No właśnie, charakterystyczna reakcja. Jeszcze w latach 70. w ojczyźnie wolnego rynku – Stanach Zjednoczonych – podatki dla najbogatszych sięgały 80 proc. I nie było jęków. Płacili. Przecież taka stopa podatkowa nie dotyczy całości dochodów, lecz jedynie kwoty powyżej określonego wysokiego progu. To nie dramat.

Podnieść podatki, stara śpiewka.

– Piketty nie chce podnosić podatków. Część książki poświęcił analizie obecnego tzw. poziomu redystrybucji. Ten poziom w krajach rozwiniętych wynosi około 40 proc.

Oddajemy państwu 40 proc.?

– Średnio. Tyle państwa pobierają od nas w formie podatków, składek emerytalnych, zdrowotnych i w formie innych danin. Piketty pisze, że to jest dość. W Polsce płacimy mniej – około 32 proc., bo podatki u nas należą do najniższych w Europie. Zresztą netto płacimy jeszcze mniej, przecież jeśli korzysta pan z publicznej drogi, a pańskie dzieci chodzą do publicznej szkoły, to dostaje pan zwrot swojej inwestycji w państwo. Piketty nie proponuje ponoszenia podatków, chce inaczej rozłożyć ich ciężar. Tak aby bogaci płacili najwięcej. Nie po to, żeby komuś przyłożyć podatkami, tylko żeby wywołać określone procesy społeczne i rynkowe.

Jakie?

– Złagodzić działanie zasady $R > G$. Przestać pompować balon nierówności. Piketty proponuje globalny podatek od wartości majątków w wysokości 2 proc. rocznie. Chodzi o to, żeby nadwyżkę w zyskach z kapitału – zwykle są one o blisko

BIULETYN
Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego

Publikacja przygotowana w ramach grantu NCN nr UMO 2013/09/B/HS4/03605 realizowanego przez Kolegium Nauk Ekonomicznych SGH

JAKOŚĆ PRAWA
KOSZTY TRANSAKCYJNE DOCHODZENIA PRAW Z UMÓW

Biuletyn PTE nr 1/2-15 – wydanie specjalne, poświęcone ocenie ochrony wierzycieli w Polsce w latach 2004–2012 oraz związanych z tym kosztów.

2 punkty procentowe wyższe niż wzrost gospodarczy – zniwelować. Ale zaraz w tym samym rozdziale pisze, że globalny podatek to utopia. Bo wszyscy musieliby się dogadać, cały świat. Solidarnie.

Czyli nic z tego nie będzie.

– Kto zaczął myśleć, zrobił połowę. Świat powinien zmienić sposób myślenia o podatkach. CIT – czyli podatek od zysków przedsiębiorstw – to znikający punkt w dochodach budżetowych. Im większe i bardziej globalne przedsiębiorstwo, tym łatwiej unika tego podatku, nie chce płacić nawet naszych 19 proc., choć to podatek bardzo niski. Guzik do garnituru sprowadza się z Wysp Marshalla i wykazuje, że to najdroższy składnik garnituru, czyli dochody są wykazywane tam, a nie w Polsce. Sposobów są tysiące.

Co to znaczy „opodatkować majątek”?

– Na przykład ziemię i domy – to tzw. podatek katastralny, czyli od wartości nieruchomości. Jak ma pan trzy domy, to płaci co roku 2 proc. ich wartości. Trudniej przed takim podatkiem uciec, domów pan nie schowa do kieszeni ani nie wyśle na Kajmany. W Polsce od dziesięciu lat leży w Sejmie projekt wprowadzenia podatku katastralnego, moi studenci napisali już kilkanaście prac na temat tego projektu.

I?

– Politycy się boją. Bogaci, którzy mają te nieruchomości, będą wściekli.

Przed wszystkim będą wściekli emeryci. I tego politycy się boją.

– Tak. Krążą opowieści, że starszaka mieszkająca na stu metrach przy

Noakowskiego w centrum Warszawy – takie mieszkanie warte jest jakieś 1,5 mln – co roku będzie musiała płacić 30 tys. podatku, więc umrze z głodu.

Będzie musiała?

– No skąd! Emerytkę można zwolnić. Pierwsze mieszkanie w rodzinie można zwolnić, pierwszy dom tak samo albo opodatkować bardzo nieznacznie. To wszystko jest do ustalenia. Strasznie niedołą emerytów to zasłona dymna, żeby nic nie robić i mieć święty spokój. Bo zmieniając system podatkowy, politycy jednak komuś muszą się narazić. Na świecie dyskutuje się o problemie nadmiernego opodatkowania pracy. W Polsce też mamy z tym kłopot, przecież ludzie utrzymujący się z pracy płacą składki emerytalne, zdrowotne, chorobowe, podatki dochodowe. Właściciel dziesięciu mieszkań w Warszawie, który żyje z ich wynajmu, płaci procentowo dużo niższe podatki niż pan i ja. Podobnie ktoś inwestujący na giełdzie – zaledwie 19 proc. System wspiera rentierów. Piketty uważa, że złe systemy podatkowe wzmacniają nierówności i pchają świat z powrotem w stronę kapitalizmu dziedzicznego. Buffett, Gates, Bloomberg i inni mądrzy miliarderzy nie zostawiają dzieciom spadków. Wydzielili im kwoty, solidne, ale nie aż tak duże, żeby pozwalały na rentierskie życie. Resztę zapisują rozmaitym fundacjom. Nie dlatego, żeby dokuczyć potomkom. Uważają, że jeżeli jest za dużo pieniędzy, to nie ma bodźca do działania.

Co w tym złego, że dzieci Kulczyka odziedziczą po nim firmę wartą 15 mld zł?

– Grupa amerykańskich miliarderów domaga się od prezydenta Obamy, aby wprowadził bardzo wysoki podatek spadkowy od fortun takich jak te, które posiadają. Jeśli wartość imperium biznesowego wynosi miliardy dolarów, to trzeba by zapłacić podatek spadkowy w wysokości na przykład 80 proc. wartości. To oznacza, że dzieci będą musiały podzielić imperia po rodzicach na kilka mniejszych firm, a następnie je sprzedać, żeby zapłacić podatek. I o to chodzi. Bo wtedy w tym londyńskim autobusie z bogaczami pojawi się kilka osób więcej. Wysokie podatki spadkowe to jeden z mechanizmów, które mogą powstrzymać tworzenie biznesowych oligarchii.

Wystarczy zmienić podatki i będzie dobrze?

– Nie ma jednej odpowiedzi, co należy robić. I to też jest odpowiedź. Całe lata zachodnia ekonomia wykazywała się niebywałą pychą i twierdziła, że zna jedyne słuszne reguły. Nazywano ten zestaw konsensusem waszyngtońskim: prywatyzacja, deregulacja, niskie podatki, odchudzanie państwa.

Czyli zestaw, który wprowadziliśmy w Polsce po 1989 roku.

– U nas na szczęście zadziałał, choć oczywiście nie wszystko wyszło idealnie. Ale w Rosji czy na Ukrainie wprowadzenie tych samych recept przez tych samych ekspertów – Jeffrey Sachs prosto z Warszawy poleciał do Moskwy – doprowadziło do katastrofy. Do dziś głównym lękiem przeciętnych Rosjan i paliwem dla Putina jest strach, żeby nie wróciły lata 90. W krajach Ameryki Łacińskiej konsensus waszyngtoński również dał bardzo różne wyniki: raz pomagał gospodarce, ale innym razem prowadził do krachu lub gigantycznego rozwarstwienia. Nie ma gotowych recept, które wymyślił jakieś światowe centrum mądrości i roześle łaskawie na peryferia. Coraz więcej gremiów światowych, w tym Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy, zaczyna to rozumieć i odchodzić od propagowania sztywnych reguł. Każdy kraj powinien sobie uszyć garnitur ekonomicznych recept na własną miarę.

Nie trzeba oszczędzać?

– Trzeba. Reformy polegające na racjonalizowaniu wydatków państwowych są konieczne. Europa będzie musiała na nowo wymyślić umowę społeczną, w sytuacji gdy populacja się starzeje. Na to nas stać, a na tamto nie – trzeba będzie podjąć trudne decyzje. Ale to musi być przeprowadzone przy podniesionej kurtynie i na zasadzie solidarności. Na razie proces toczy się chaotycznie, polega na odbieraniu klasie średniej etatów, opieki zdrowotnej i nieustannym straszaniu, że emerytur nie będzie, bo kasa pusta. Jednocześnie koncerny mają najlepsze w historii zyski i żadnej ochoty, żeby dokładać się do wspólnych spraw. Wiele wskazuje na to, że nadchodzi czas ponadnarodowej debaty dotyczącej skrócenia czasu pracy. Po pierwszej wojnie światowej Piłsudski wprowadził u nas normę 48 godzin, teraz mamy 40 godzin. Tylko osiem godzin różnicy mimo upływu stu lat! Dynamika skracania czasu pracy jest dużo wolniejsza niż przemiany technologiczne.

Będziemy mniej pracować, to mniej zarobimy.

– Niekoniecznie. W postindustrialnym modelu gospodarki coraz bardziej liczy się kreatywność. Niech pan weźmie do ręki jakiegokolwiek poradnik zarządzania albo tygodnik biznesowy. Pełno tam tekstów o potrzebie kreatywności, o tym, że pracownik musi szukać nowych rozwiązań, nieustannie się uczyć i rozwijać. Jednocześnie cały system działa tak, że na to nie pozwala.

Bo?

– Nie daje czasu. Kiedy ludzie mają się dokształcać? Kiedy wymyślać nowe koncepcje? Do kreatywności potrzebne jest bujanie w obłokach. Archimedes leżał w wannie, kiedy odkrył swoje prawo; to oczywiście legenda, ale pokazująca coś istotnego. System korporacyjny wpaja ludziom, jak wielką cnotą jest uczenie się przez całe życie, ale jednocześnie odbiera im czas, który mogliby na to przeznaczyć. Skrócenie tygodnia pracy może pobudzić gospodarkę. W czasie wolnym człowiek pójdzie do kina, na zakupy...

Jeżeli będzie miał za co.

– Być może bardziej racjonalne rozłożenie pracy spowoduje wzrost wydajności? Może wtedy da się obniżyć podatki? Jak przestaniemy harować, to może mniej będziemy chorować, być może dzieci i rodziny będą bardziej zadbane...

To „być może” jest pisane patykiem na wodzie.

– Zgoda. To nie musi się sprawdzić. Ale powinniśmy rozmawiać o nowych pomysłach i ideach. Powinniśmy odzyskać zdolność do myślenia, również utopijnego. Obecny system pilnie wymaga korekt. Powtarzanie, że musi być, jak jest, to żadna odpowiedź.

Rozmowa Grzegorza Sroczyńskiego z Elżbietą Mączyńską, „Gazeta Wyborcza” nr 130, wydanie z dnia 06/06/2015 Magazyn, str. 16.

Przedruk za zgodą „Gazety Wyborczej”.

„Kapitał w XXI wieku”
Thomasa Piketty’ego
wyszedł w tym roku po
polsku. Wydała go Krytyka
Polityczna, a dofinansował...
Cezary Stypułkowski,
prezes mBanku.

